

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] szybko doszedłem do siebie i zaraz pobiegłem na miasto, byłem niezmiernie ciekaw co się dzieje w mieście i czy spotkam tam kogoś znajomego. Zobaczyłam tam to czego właściwie się spodziewałem, panował smutek, właściwie z każdego kąta wycierała tragedia ludzka. Na każdym placu i ulicy miasta spotykałem uciekinierów z całego Wołynia, ale przede wszystkim z najbliższych okolic. Niektórzy z nich byli ranni, a prawie każdy z nich stracił kogoś z najbliższej rodziny. Spotkałem w tych dniach wielu bliskich znajomych z Teresina i z naszej parafii Matki Bożej Swojczowskiej, [...]” Eugeniusz Świstowski

WSPOMNIENIA EUGENIUSZA ŚWISTOWSKIEGO Z KOLONII TERESIN W POWIECIE WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1935 - 1944

Nazywam się Eugeniusz Świstowski, mam 75 lat, mieszkam we wsi Kopyłów 146, gm. Horodło, powiat Hrubieszów, woj. Lubelskie. Urodziłem się 10 sierpnia 1928 r. na kolonii Teresin, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tato nazywał się Józef Świstowski i pochodził ze wsi Helenówka, gm. Werba, gdzie też się narodził. Jego rodzice mieli na imię Antoni Świstowski oraz Katarzyna z domu Wawrynowicz. Moja mama miała na imię Michalina i była z domu Wawrynowicz, jej rodzice to Franciszek Wawrynowicz, a mama miała na imię chyba Helena i była chyba z domu Umańska. Miałem jeszcze brata i siostrę, najstarsza była Kazimiera, która urodziła się w 1925 r., po niej urodziłem się ja, a po mnie w 1935 r. najmłodszy brat Władysław. Jako dziecko byłem na Teresinie bardzo szczęśliwy, moje dzieciństwo było bowiem bardzo radosne rzecz można beztrudnie. Jako mały chłopczyk nie przypominam sobie, aby Ukraińcy prześladowali Polaków w naszej kolonii. Być może miał na to wpływ znaczący fakt, że w naszej miejscowości mieszkali prawie wyłącznie sami Polacy. Ukraińska była tylko jedna rodzina, naszego sołtysa, który nazywał się Środa.

ZŁOWROGA JASKÓŁKA

Właściwie aż do wybuchu wojny w 1939 r., przypominam sobie tylko jeden przypadek, otwartej wrogości Ukraińców do nas Polaków, to było tak: z okazji zakończenia roku szkolnego w czerwcu 1939, na placu szkolnym obok naszej, polskiej szkoły zorganizowana została zabawa dla nauczycieli i rodziców z naszej szkoły i oczywiście dla nas wszystkich. Było bardzo dużo ludzi oraz dzieci, a wśród nich była moja rodzina. W pewnym momencie, około godz. 20.00, **zobaczyłem na tym spotkaniu 10 Ukraińców, którzy przyszli do Teresina z ukraińskiej wsi Kohylno.** W tym czasie na dworze było jeszcze widno, a ludzi na imprezie wciąż dużo, co raz więcej bowiem zabawa rozkręcała się dopiero w najlepsze. Zauważyłem, że ci goście ubrani byli w swoje odświętne, narodowe koszule, bogato wyszywane oraz rozmawiali w swoim ojczystym języku. Zasiadli sobie wygodnie w bufecie i zaczęli sobie ostro popijać. Niestety po jakimś czasie tego im było mało i zaczęli robić wokół siebie szum i zamieszanie. Zwróciło to oczywiście i moją uwagę i **usłyszałem jak wykrzykują na Polaków złowrogie słowa, a nawet zaczęli otwarcie się odgrażać, krzycząc przy tym na cały głos: „Smert Lacham, smert Lacham!”** Gdy tak sobie w najlepsze rozrabiali, jeden z miejscowych Polaków Stanisław Krochmal ruszył dziarsko w ich kierunku, aby im wkrochmalić, a trzeba przyznać, że znany był w tej okolicy, że dobrze krochmali. Zaraz jednak inni Polacy, widząc na co się zanosi, powstrzymali go od tego siłą i odciągnęli nie pozwalając na to, aby z tej prowokacji wynikła jakaś poważna szkoda.

Tymczasem ci Kochyleńcy jeszcze trochę pokrzyczeli i wyraźnie podchmieleni wrócili do swojej wsi.

Pamiętam dobrze, że nasza szkoła znajdowała się tuż obok mojego domu bowiem mieściła się w naszym budynku, który nasz tato Józef wydzierżawił dla pieniążków, których bardzo potrzebowaliśmy. My tymczasem zamieszkaliśmy w budynku mniejszym, stojącym niedaleko szkoły. Chociaż nie miałem właściwie kolegów o pochodzeniu ukraińskim, jednak uprzedzeń do Ukraińców też nie miałem. Ten incydent przy szkole był dla mnie dużym zaskoczeniem i nie miał właściwie większego wpływu na mnie. Nadal nie czułem lęku przed Ukraińcami. Ot po prostu jeszcze jedna rozróżba, jakich wiele.

MIŁOŚĆ MADONNY ZE SWOJCZOWA

Rodzina Świstowskich od pokoleń modliła się przed łaskami słynącym Obrazem Matki Bożej Swojczowskiej, nazywanej przez ludność miejscową: „przczystą”. Właśnie w tym kościele brali ślub moi rodzice, tu zostałem ochrzczony i także tu byłem u I Komunii Świętej. Pamiętam, że moja I Komunia Święta była bardzo uroczysta. Tego dnia było ładnie i bardzo słonecznie, a w naszym domu, od rana było bardzo dużo pracy w przygotowaniach do uroczystości i późniejszego przyjęcia. Otrzymałem ładny, granitowy garniturek oraz długie spodnie i wozem pojechaliśmy do kościoła w Swojczowie. Tam było już dużo ludzi oraz dzieci. Ustawili nas rządkiem, tuż przed wejściem do Kościoła i chłopców i dziewczynki, które tak jak i dziś poubierane były pięknie w białe sukienki. Potem nasz ksiądz wprowadził nas do kościoła, a tam uklękliśmy i zaczęliśmy śpiewać pieśń o Matce Bożej. W tym momencie nasz piękny Obraz zaczął się powoli odsłaniać.

Potem oczywiście była piękna uroczystość, w trakcie której Bóg po raz pierwszy przyszedł do mojego serduszka w swoim przemienionym Ciele i Krwi. Było to wtedy dla mnie naprawdę wielkim i pięknym przeżyciem. Zaraz po błogosławieństwie cała nasza rodzina udała się spiesznie do naszego domu, aby radośnie przyjąć miłych gości. **Podczas naszego świętowania nasz dom nawiedził sam ksiądz proboszcz Franciszek Jaworski i zasiadł z nami do stołu. Pragnę dodać, że ksiądz Franciszek był częstym gościem w naszym domu i zawsze serdecznie przyjmowany chętnie zasiadał z nami do rodzinnego stołu.** Szczególnie zaś wtedy, gdy wracał z lekcji religii z naszej szkoły, mama zawsze starała się zaprosić na smaczny obiad, jak widać często nie odmawiał.

PATRIOTYCZNE WYCHOWANIE

Nasz tatuś Józef był człowiekiem nie tylko aktywnym z natury, śmiało mogę także powiedzieć, że był gorącym patriotą polskim. W latach przedwojennych należał i czynnie działał w Związku Osadników Polskich, których siedziba znajdowała się w mieście Włodzimierz Wołyński, przy ulicy Kowelskiej nr 23. Często tam jeździł, a mnie zabierał chętnie ze sobą. Pamiętam, że podczas tych spotkań rozmawiał najczęściej na tematy interesujące ich organizację oraz poruszał różne gorące problemy, dotyczące rolników. Często dyskutowali także o Polsce, ojczyźnie naszej.

Pewnego razu do naszego miasta Włodzimierza Woł. przyjechał sam pan Marszałek Polski Józef Piłsudski, który podążał dalej na wschód, do Łucka. Jego **wizyta na Kresach związana była z uroczystościami, zorganizowanymi dla pojednania i zbliżenia wiary polskiej, ukraińskiej i żydowskiej.** Oczywiście mój tato też wybrał się wtedy do miasta, a ja z nim. **Byliśmy na mszy świętej w kościele farnym, z nami modlił się wtedy także sam Marszałek.** Wtedy widziałem go osobiście jedyny raz w życiu, to było dla mnie bardzo duże przeżycie, miałem wtedy jedynie 9 lat. Gdy nie długo później pan Marszałek zmarł, byłem już wtedy w drugiej klasie, w naszej szkole został ogłoszony, szczególny czas żałoby. Na jej znak, wszystkie dzieci w naszej szkole, nosiły na lewym ręku, czarne, cienkie wstążki. Nosiliśmy je przez 3 dni, ale to nie cały program związany z tą niezwykłą chwilą. Nasza szkoła zorganizowała też specjalną akademię, podczas której, ja osobiście miałem okazję

powiedzieć piękny wiersz okolicznościowy, niektóre jego słowa pamiętam do dziś, a oto one: „*Umarł Pan Marszałek i w łzach Polska cała, jedna tylko pociecha została, że choć dziadka nie ma, Polska się nie boi, bo na czele wojska, nasz Rydz Śmigły stoi.*”

Rzeczywiście, uczono nas w naszej szkole patriotyzmu, gorącej miłości do ojczyzny oraz ofiarnej służby dla niej. Dlatego też nasza rodzina, która tą naukę chłonęła i przyjmowała z największą radością, potem przeżywała szczególne katusze. Obawialiśmy się, że znajdziemy się na czele list, tych rodzin, które Sowieci wysyłali, bydłecymi wagonami na straszną i daleką Syberię.

WRZESIEŃ 1939 ROK

Jeszcze zanim wybuchła II wojna światowa mój tatuś miał w domu radio na słuchawki, zabierałem je czasami na górę i tam lubiłem sobie posłuchać, co nowego nadają. Pamiętam rzeczywiście do dziś, jak nasi politycy zapewniali, że w możliwym konflikcie z Niemcami nie dadzą się pokonać, że nie oddadzą nawet jednego guzika Szwabom. Jak się jednak okazało inna była straszna rzeczywistość. Słuchałem także podczas bolesnej dla nas Kampanii Wrześniowej, aż do wejścia Sowieców, kiedy to jednak nasz tata zabrał mi radio i posłusznie oddał Sowiecom. Obawiał się bowiem, że za ukrywanie radia możemy otrzymać nie tylko bolesne kary, ale co najgorsze mogą nas wysłać na Syberię. Wrześniowe dni były dla ludności polskiej naprawdę trudne. **Zaraz po wejściu Sowieców miejscowi Ukraińcy pozakładali sobie na ręce czerwone, komunistyczne opaski i chodzili w nich swobodnie po naszej polskiej kolonii.** Błękitno-żółtych flag ukraińskich czy bramy powitalnej nie widziałem, ale i tak był to dla nas Polaków mało przyjemny widok.

W tych dniach do naszego domu przychodził Polak o nazwisku Jan Antoniuk, który był szwagrem mojego taty i opowiadał swoje ostatnie przeżycia z wojny 1939 r., mówił tak: „*Zostałem zmobilizowany na wojnę obronną 1939 r. i walczyłem dzielnie, dowodziłem plutonem chłopaków z piechoty. Jednego dnia trafiliśmy do wioski ukraińskiej, gdzie bardzo zmęczeni i głodni, poprosiliśmy kobiety ukraińskie o posiłek. Radziły nam, abyśmy poszli do ich stodoły i tam zaczękali, a one przyniosą za chwilę coś do jedzenia. Posłuchaliśmy i udaliśmy się zaraz do tej stodoły, gdzie niemal natychmiast zwaliliśmy się ze zmęczenia na słomę. Jednak po jakimś czasie usłyszeliśmy jakieś dziwne głosy, które nas wyraźnie niepokoiły. Wstałem więc pospiesznie i spojrzałem przez szparę stodoły na podwórko, a tam zobaczyłem pełno młodych chłopaków ukraińskich, a wszyscy uzbrojeni w kosy, siekiery i noże. Zauważyłem także, że wyraźnie szykują się wejść do naszej stodoły, zaraz pobudziłem towarzyszy i przygotowaliśmy się do odparcia zdradzieckiego ataku. Tymczasem znajome nam Ukrainki weszły rzeczywiście z żywnością do stodoły, ale za nimi niestety chłopci Ukraińscy z bronią. Nie mogliśmy czekać, aż złączą nas rezać jak baranów, natychmiast otworzyliśmy huraganowy ogień. Niektórych zabiliśmy na miejscu, a reszta gościnnych mieszkańców tej wsi rozpierzchła się i puciekąta. My tymczasem zabraliśmy ze sobą przyniesione jedzenie i odeszliśmy dalej. Po kilkunastu dniach rozwiązałem pluton i każdy ruszył w swoją stronę.*” Tę historię znam bardzo dobrze, ponieważ osobiście przysłuchiwałem się kiedy Jan opowiadał o tych wydarzeniach w naszym domu. O innych atakach Ukraińców na polskie wojsko we wrześniu 1939 r. nie słyszałem, choć jest mi wiadome dziś, że było ich znacznie więcej.

Także we wrześniu 1939 r., w miejscowości Werba, Sowieci rozstrzelali grupę polskich żołnierzy w liczbie około 30, tam też zostali pochowani. W tej liczbie zginął także Stanisław Świstowski, rodzony brat naszego tatusia, który walczył w stopniu plutonowego Wojska Polskiego (WP). Całkiem możliwe, że żołnierze wracali już z przegranej właściwej wojny do swoich domów i rodzin. Dla przykładu stryj Stanisław miał w Werbie swoją żonę i rodzinny dom. I właśnie wtedy ich oddział został okrążony przez Sowieców niedaleko ukraińskiej wsi Werba. Żona Stanisława Świstowskiego była nauczycielką, dzieci nie mieli, a

dalszych jej losów nie znam. Gdy mój tatuś dowiedział się o tym od znajomych ludzi, zaraz tam pojechaliśmy, ale oni byli już pochowani w zbiorowej mogile więc nie dotykaliśmy grobu. Pragnę dodać, że na tej mogile latem 2002 r. stanął symboliczny Krzyż. Miałem zaszczyt być osobiście, na pięknej uroczystości poświęcenia tego Krzyża.

LATA OKUPACJI SOWIECKIEJ

Po wejściu Sowietów na naszą ziemię wołyńską, my Polacy spotkaliśmy się już z otwartą wrogością ze strony Ukraińców. Pamiętam, że już we wrześniu 1939 r. Ukraińcy dopuszczali się fizycznej przemocy względem nas, dla przykładu obrywali guziki oraz zrywali pagony Polakom, na których były jeszcze symbole polskie. Zdarzało się więc coraz częściej, że Polacy, aby nie dostępować tych przykrości, sami pozbywali się wcześniej tych symboli. Także ja sam osobiście doświadczyłem tego bolesnego upokorzenia, opiszę to wydarzenie. Pewnego razu, na łące niedaleko naszej kolonii, wraz z moim rówieśnikami, paśliśmy krowy. Przyszło wtedy do nas 3 lub 4 Ukraińców, w wieku około 20 lat. **Jeden z nich bez zażenowania wyjął nóż i podszedł do mnie, następnie nic do mnie nie mówiąc, złapał mnie za koszulę i brutalnie zaczął obcinać moje guziki. Potem na moich oczach, rzucił je na ziemię i chamsko podeptał. To było dla mnie bardzo upokarzające przeżycie,** czułem się jako 13 letni podrostek bardzo podle ale zarazem nie miałem w tym momencie, wystarczająco dużo siły, aby móc się obronić. Na dodatek paraliżował mnie wielki strach. Na szczęście nie pobili nas wtedy, a nawet nie wyzywali tylko po skończonym dziele poszli sobie dalej. Do dziś nie wiem skąd byli ci Ukraińcy.

Jeszcze we wrześniu 1939 r. Do naszego rodzinnego domu w Teresinie przybyło dwóch oficerów polskich w stopniu porucznika i pilnie potrzebowali pomocy. Prosilili naszego tatę, aby załatwił im cywilne ubrania i pomógł ukryć się przed spodziewaną zemstą Sowietów. Tatuś przyjął ich i zaoferował swoją pomoc, na razie jednak ukrył ich w naszej stodole. Gdy załatwił im cywilne ubrania, przez jakiś czas pozostawali w naszej wiosce. Jednym z nich był Edward Kubala, nawet po wejściu już Sowietów do naszej wsi, mieszkał wśród nas i uczył dzieci w naszej szkole, aż do ukraińskich mordów w 1943 r.. Potem przedostał się na tereny objęte kontrolą samoobrony z Bielina, przyłączył się do polskiej partyzantki Armii Krajowej (AK) i z czasem awansował nawet na dowódcę jednego z batalionów. W szeregach 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej walczył aż do końca, aż do rozbrojenia. Gdy było zaś już po wszystkim osiadł gdzieś na Pomorzu, wydaje mi się, że w Gdańsku. Drugi, pan Stanisław po około 4 miesiącach, gdzieś w roku 1940, pewnego dnia zniknął i od tej pory nie wiem już co się z nim stało. Podobno chodził do kogoś w Kohylnie.

NA DALEKĄ SYBERIĘ

Cały koszmar sowieckiej okupacji nie byłby tak dotkliwy, gdyby nie rozpoczęto wywozić całe rodziny na daleką Syberię. Niestety także i nasza rodzina znalazła się wśród tych szczęśliwców, którym chciano zafundować taki urlop zimowy. Jednego razu na nasze podwórko przyszedł sowiecki urzędnik wraz z sołtysem i zaczął oglądać nasze gospodarstwo. Kiedy je sobie porządnie obejrzał i zobaczył w jakich warunkach obecnie mieszkamy machnął ręką i powiedział znacząco: „*To nie pamieszczyk, niech żyje spokojnie.*” Słowa te słyszałem od niego osobiście w naszym własnym, tymczasowym domu. Tak mało więc brakowało, a podzieliłibyśmy los wielu tysięcy Polaków, byliśmy już bowiem gotowi do wyjazdu, a nasze rzeczy były już dobrze popakowane. Na szczęście nasz sołtys Środa uprzedził nas wcześniej, że przyjdą Sowietci do nas. A zazwyczaj jak już po kogoś przyszli, było wtedy zwykle bardzo mało czasu na zabranie najbardziej potrzebnych rzeczy do życia, dlatego się dobrze przygotowaliśmy. W tym czasie wywieźli już 3 inne rodziny polskie, w tym: rodzinę Barańskiego oraz prawdopodobnie Brzezickich i Kędzierskich. Sowietci wywieźli też wielu Polaków z najbliższych okolic Teresina, w tym rodzinę Wojciechowskich,

która mieszkała między Kohylnem i Barbarówką. Jest mi wiadome, że z tych ludzi wrócił potem pan Barański oraz jego żona i osiedli we wsi Dziekanów koło Hrubieszowa. Po jakimś czasie przenieśli się do Hrubieszowa i tam potem pomarli. Zanim jednak do tego doszło, jednego razu zaraz po ich powrocie z Syberii odwiedzili nas w Kopyłowie i w naszym domu, opowiadali wobec mnie swoje syberyjskie losy, mówili tak: „*Józek ty jak byś był na Syberii, to byś tam nie przeżył.*” Mój tatuś zapytał ich więc: „*Dlaczego?*” Na to Barański tak mu odpowiedział: „*Bo my tam z żoną to niekiedy korę z drzew owocowych parzyliśmy i piliśmy, a ty dzieciom jakbyś to podawał, to i tak byście nie przeżyli.*”

Warto jeszcze dodać, że w naszym lesie kohyleńskim Sowietci mieli swój duży poligon, w którym pracował przez pewien czas nawet nasz tato. Zajmował się przywożeniem chleba dla wojska oraz wywozem śmieci. Szybko zorientował się, że Sowietci porzucili bardzo wiele pieniędzy, które jednak myśmy uważnie zbierali i mogliśmy dzięki nim kupić sobie różne potrzebne do życia produkty. Muszę przyznać, że w pewnym momencie dla naszej rodziny był to złoty interes, dlatego pomimo wojennego czasu mieliśmy wszystkiego w bród. A ponieważ w naszych okolicach było jeszcze w tym czasie raczej spokojnie, żyliśmy i nie mogliśmy narzekać.

NIEMCY WKACZAJĄ NA WOŁYŃ W CZERWCU 1941

Gdy tylko Niemcy napadli na ZSRR, szybko pogonili Sowietów daleko na wschód. Muszę przyznać, że nie zauważyłem, aby ludność ukraińska z radością witała wkraczających hitlerowców. Ukraińcy z Kohylna, w tym czasie przejawiali inną, szczególną aktywność, otóż po ucieczce Sowietów, coraz częściej jeździli furmankami do lasu kohyleńskiego, gdzie znajdowało się, wiele bardzo broni i amunicji, pozostawionej przez pobitych Sowietów. Ich rajdy widziałem na własne oczy i to nie jeden raz, gdzieś to potem gromadzili, chyba w Kohylnie. Miejsce to było celem nie tylko Ukraińców, także wielu Polaków chodziło tam, aby zabrać dla swojej rodziny to co mogło sobą przedstawiać jakąś wartość. Ja sam wywoziłem stamtąd różne koce, prześcieradła oraz wiele innych cennych rzeczy gospodarczych.

Tymczasem Niemcy w dawnym Tartaku kohyleńskim, który wcześniej należał do Żyda o nazwisku Kac, zorganizowali obóz jeniecki dla żołnierzy sowieckich. W moim przekonaniu jeńców tam przetrzymywanych było, co najwyżej kilkudziesięciu, może nawet jedynie 30. Słyszałem, że kilkunastu z nich zrobiło podkop pod budynkiem i udało im się sprytnie stamtąd uciec. Pamiętam, że Niemcy byli z tego powodu bardzo wściekli i szukali ich nawet w naszej kolonii Teresin. Bardzo się baliśmy, że jeszcze dojdzie do tego, że naszą kolonię spalą, ale wszystko skończyło się dobrze.

Po objęciu władzy przez Niemców, Ukraińcy od razu zaczęli z nimi szeroko współpracować. Objęli w swoje władanie niższe urzędy oraz stworzyli policję ukraińską, która wysługiwała się oprawcom. Pragnę podkreślić, że już od roku 1941, słyhać było co pewien czas od ludzi, że policja ukraińska zabiera co pewien czas z domów pojedyncze osoby, przeważnie co znacniejszych i męniejszych Polaków. **Niestety, wielu z wezwanych, bądź zabranych przez tę policję, nigdy więcej do domu rodzinnego już nie wracała, a wszelki słuch po Tych osobach ginął. Krótko mówiąc: „Zapadali się pod ziemię!”** Oczywiście nasi Polacy, prawie wszyscy zdawali już sobie sprawę, że oni prawie na pewno zostali skrytobójczo, okrutnie zamordowani, póki co jednak pewności nie było. Na początku więc ginęli bez wieści byli oficerowie armii polskiej, wojskowi oraz członkowie elitarniej organizacji „Krakusy”. Krakusy to była przedwojenna organizacja wojskowa, której członkowie posiadali broń w pogotowiu i często wyjeżdżali na różne szkolenia wojskowe. W naszej kolonii do „Krakusów” należał Stanisław Terlecki. Warto także wspomnieć o innej formacji, o samoobronie, która została utworzona na czas wojny i miała prawo nosić broń. W naszej kolonii należeli do niej: Stanisław Omański, Tadeusz Wawrynowicz oraz Stanisław

Bojko, który był komendantem w naszej gminie Werba.

ZAGŁADA WOŁYŃSKICH ŻYDÓW

Na wiosnę 1942 r. Niemcy zaczęli mordować Żydów w naszej okolicy, a pomagała im w tym czynnie policja ukraińska. W naszej wiosce mieszkała jedna rodzina żydowska, która prowadziła sklep spożywczy w Tartaku kohyleńskim, ale dziś już nie pamiętam jak się nazywała. Żona tego Żyda miała na imię Gitla, mieli jednego syna, który chodził z nami szkoły w Teresinie. Kiedy zabrali jego rodziców, ukrywał się w lesie kohyleńskim. Ponieważ ja i moi koledzy paśliśmy w tym czasie krowy na łąkach, nosiliśmy mu jedzenie, aby mógł przeżyć. Namawialiśmy go także, aby podpalił ukraińskie domy w Kohylnie, ale on nie chciał. Niestety jeszcze latem 1940 r., Ukraińcy wysłedzili go i złapali, a potem zamordowali. Jego ciało zaś wrzucili do byłego okopu sowieckiego i przysypali ziemią. Kiedy niedługo później znaleźliśmy świeżą ziemię domyśliliśmy się, że właśnie tam go zakopali.

W tych czasie Ukraińcy często już śpiewali wrogie piosenki przeciwko Polakom, także wtedy, gdy przejeżdżali furmanką przez naszą kolonię. Osobiście słyszałem nie raz takie słowa: „**Smert, smert Lacham, Żydam i rosyjskiej komunie!**” Jednego dnia zatrzymali się obok domu Polki Heleny Wysockiej i rwali sobie w najlepsze truskawki. Po chwili wyleciała z domu gospodyni i zaczęła na nich się wydzierać, chciała ich najwyraźniej przegonić, ale trwało to krótko. Jeden z nich krzyknął do niej wymownie: „*Cicho bo zabijem! Zatrznij chapu bo zastrielem!*” W tym czasie Wysocka była naszą sąsiadką przez miedzę. Jednak nawet jeszcze w tym, tak gorącym już czasie w 1942 r., nie przypominam sobie, aby w naszej kolonii, czy w najbliższej okolicy ktoś zginął.

W grudniu 1942 r. było ostatnie Boże Narodzenie w naszym rodzinnym domu na Wołyniu i pamiętam je doskonale do dziś. W naszej okolicy było jeszcze spokojnie i nie obawialiśmy się pozostawać na święta w naszych domach. Jeszcze w tych dniach nie baliśmy się nocować w swoich domach. Nawet przez chwilę nie myśleliśmy, że to może być nasza ostania wigilia na Teresinie. Jak co roku składając sobie życzenia, często wspomniano też: „*Abyśmy doczekali do nowego roku.*” Niestety większość mieszkańców polskiego Teresina nowego roku pośród żyjących na tej ziemi, już nie doczekała. Póki co, pomimo czasu wojennego świętowaliśmy narodzenie Pana Jezusa. Jak zawsze była przy tym choinka oraz liczne ozdoby, lubiane prezenty oraz wiele potraw wigilijnych. Na początku była oczywiście wspólna modlitwa, potem dzieliliśmy się tradycyjnie opłatkiem, składając sobie serdecznie życzenia. W końcu były smaczne pierożki postne, kutia, kluseczki z makiem, grzyby smażone na maśle oraz śledziki. Kiedy wszyscy się już posilili rozpoczynaliśmy czas śpiewania kolęd. Pragnę podkreślić, że kiedyś kolędy umiano śpiewać, nie to co dzisiaj. Poza tym, w tamtych czasach, dużo się wspólnie śpiewało i to głośno, dzisiaj już się tego nie dostrzega, a szkoda bo to bardzo integrowało całą naszą rodzinę.

MARZEC 1943 ROK

W marcu policja ukraińska zabierając ze sobą broń, porzuciła służbę dla Niemców i uciekła do lasów. Z tym wydarzeniem należy łączyć zdecydowane pogorszenie się sytuacji ludności polskiej w naszym powiecie włodzimierskim. Od tego momentu rozpoczynają się pojedyncze mordy na ludności polskiej i co gorsza, z każdym dniem było ich coraz więcej. Pamiętam, że gdzieś w marcu-kwietniu 1943 r. do naszej kolonii Teresin, podczas dnia przyjechali wozem uzbrojeni Ukraińcy. Zajechali przed dom polskiej rodziny Brzezickich i weszli po chwili do środka. Świadkiem naocznym tych wydarzeń była mieszkanka naszej kolonii Jadwiga Kasperska, sąsiadka Brzezickich przez drogę i sąsiadka Antoniego Bojko przez miedzę. Opowiadała potem w naszej wsi tak: „**Ukraińcy weszli do domu Brzezickich i na oczach Jana zgwałcili jego żonę! Potem ich powiązali i zabrali ze sobą na wóz. W tym samym czasie, Ukraińcy z tej samej grupy, zabrali także ze sobą Antoniego Bojko oraz jego żonę Jadwigę.**” Od tej chwili, wszelki słuch po nich zaginął, jestem prawie pewien, że

zostali wtedy nieludzko zamordowani. Jan Brzezicki miał oko 60 lat, a jego żona, chyba Zofia, mogła mieć wtedy także około 60 lat. Podczas tego najścia, w domu nie było dwóch synów Brzezickich w wieku około 22 lat i właściwie nie wiem, co się później z nimi stało i jakie były potem ich dalsze losy. Małżeństwo Bojków było nieco młodsze od Brzezickich: Antoni lat około 45, a Jadwiga lat około 40.

Od tego wydarzenia, strach padł na mieszkańców naszej kolonii i rozpoczęło się upokarzające i ciężkie chowanie się Polaków gdzie tylko można było. Byle nie nocować we własnym domu, do którego w każdej dosłownie chwili mogli wtargnąć żądni krwi banderowcy. Najczęściej ukrywaliśmy się w stodołach, stajniach, na strychu, a wiele osób budowało własne, podziemne schrony, w których chowała się niekiedy cała polska rodzina. Tymczasem niedługo później Ukraińcy z lasu świniarzyńskiego, znów przyjechali do naszej kolonii i tym razem zajechali na podwórko rodziny Kukułka. Gospodarz miał na imię chyba Stanisław lat około 45, który miał żonę lat około 42 oraz jednego syna Antoniego lat około 18 i jedną córkę, chyba miała na imię Zosia, lat około 23. Po odjeździe banderowców, po naszej kolonii rozpoczęto sobie opowiadać, co stało się z rodziną Kukułków. Ludzie mówili tak: **„Banderowcy weszli do domu rodziny Kukułka, zgwałcili Zosię, a potem wszystkich zabrali ze sobą do lasu. Od tej pory wszelki słuch po nich zaginął. Pewnie ich w lesie bandziory pomordowali.”** Opowiadała o tym rodzina polska Topolanków, którzy mieszkali blisko rodziny Kukułków. To był niestety dopiero początek krzyżowej drogi naszej społeczności.

PROWOKACJA PODCZAS WIELKANOCNEJ REZUREKCJI W SWOJCZOWIE

W tych trudnych czasach wszystkie swoje troski, powierzaliśmy naszej umiłowanej Matce Bożej ze Swojczowa, do której chodziliśmy się często modlić, szczególnie w większe święta. Także w pierwszy dzień Wielkanocy 1943 r., udałem się rano z moją rodziną do naszego Kościoła na uroczystą Mszę Świętą. Nabożeństwo rozpoczęło się tradycyjnie o godzinie 6.00 i jak zwykle przybyło bardzo dużo ludzi pięknie i odświętnie ubranych. Do dziś pamiętam, jak radośnie były dzwony oraz niezwykle piękną procesję dookoła naszej świątyni, w której oczywiście wziąłem czynny udział. Po wejściu do Kościoła udałem się na górę na nasz chór i tam uczestniczyłem z innymi w modlitwie. Na chórze bywałem często bowiem podobało mi się to miejsce i naprawdę pięknie tam śpiewali. Nagle podczas Mszy Świętej zauważyłem na dole, wśród wiernych jakieś poruszenie. Ludzie zachowywali się dziwnie i niespokojnie, oglądali się do tyłu i coś sobie szeptali, zamiast skupić się na modlitwie. Jednak ksiądz Franciszek Jaworski, nasz proboszcz nie przerywał modlitwy. Tymczasem po chwili i ja na własne oczy zobaczyłem, że do naszego Kościoła przyszło około 15 uzbrojonych w karabiny Ukraińców. **Ubrani byli w cywilne łąchy, ale na plecach mieli ostrą broń. Pomimo, że trwało właśnie najbardziej uroczyste nabożeństwo w całym roku, Ukraińcy prowokacyjnie zaczęli chodzić pomiędzy ludźmi, po całym kościele.** Przeszkadzali w ten sposób w spokojnej modlitwie, nikogo jednak nie zaczepiali i z nikim nie rozmawiali. Trwało to przynajmniej 10 minut, w końcu wyszli ze świątyni, powiadali na furmanki i odjechali gdzieś w kierunku Kisielina.

Gdzieś około maja 1943 r., do naszej kolonii znów przyjechali Ukraińcy i tym razem zabrali ze sobą przemocą sowieckiego oficera. Pamiętam że mieszkał z Polką z Marią Świstowską lat około 35, ich ślub był w roku 1941 w kościele w Swojczowie. Kiedy go zabrali do lasu, to oczywiście wszelki słuch po nim zaginął. Ostatnia akcja ukraińska zapoczątkowała powolną ucieczkę naszej społeczności do miasta Włodzimierz Wołyński, gdzie wydawało się, że jest bezpieczniej. Ponieważ uciekały całe rodziny polskie nasz sołtys, Ukrainiec Środa zwoływał przynajmniej kilka razy, ogólne zebrania mieszkańców naszej kolonii. Podczas tych spotkań uspokajał wszystkich, aby nie uciekali do miasta ponieważ na Teresinie nic im nie grozi. Tłumaczył, że Ukraińcy biorą do lasu tylko niektóre osoby i to te, które są im potrzebne do szkolenia wojskowego ich formacji. Natomiast los zabranych Polek,

też nie jest gorszy bowiem w lesie są kucharkami w ukraińskiej kuchni. Jedno z takich spotkań, na którym byłem osobiście, zorganizowano w stodole Stanisława Krochmala. Gdy przybyło na nie wielu Polaków, nasz sołtys tak przemówił: **„Nie uciekajcie do miasta, bo tam Niemcy wymordują was, tak jak Żydów! Nie martwcie się! Nie bójcie się, bo ci którzy zostali ostatnio zabrani do lasu, wrócą z powrotem do kolonii na żniwa. Na razie nie mogą wrócić ponieważ są w lesie potrzebni, aby szkolić ukraińskich partyzantów, a wasze kobiety gotują dla nich posiłki.”** Nasi ludzie siedzieli podczas tej przemowy cicho i nic się nie odzywali, jednak w swoich sercach nie wierzyli zapewnieniom sołtysa. W swoich domach najczęściej powtarzali tak: *„Mowa sołtysa to nieprawda. To co mówił Środa to jest lipa!”* Dlatego ucieczki z naszej wsi do miasta nie ustawały i co chwilę kogoś ubywało.

UCIECZKA Z TERESINA

Moja rodzina także nie wierzyła w zapewnienia sołtysa Środy, dlatego postanowiła działać na własną rękę. Aby lepiej rozpoznać sytuację, w której się znajdowaliśmy, moja mama wysłała mnie do tartaku, do mieszkających tam rodzin niemieckich. Niemcy bowiem wciąż pilnowali tu jeńców sowieckich, których osobiście wtedy widziałem. Za dwie gęsi miałem, kupić dużo drożdży. Polaków w tym czasie już w Tartaku nie było, ponieważ puciekali do miasta. Jest mi wiadome, że mieszkała tam rodzina Grzybowski: mąż lat około 40 i jego żona także lat około 40, ale nie pamiętam dziś czy mieli swoje dzieci. Mieszkał tam także Polak Franciszek Pieczonka, jego żona i ich dzieci oraz rodzina Indzińskich i Wesołowskich. Gdy dostałem drożdże zaraz wróciłem do domu, a wtedy dostałem nowe zadanie, aby tym razem udać się do Dominopola, pod sam las świniarzyński, gdzie mieszkał Polak Franciszek Bednarski. Dominopol to była piękna i duża wieś polska, zamieszkała prawie wyłącznie przez Polaków. Przeszedłem spokojnie przez wieś i trafiłem na podwórko Bednarskich, którzy byli jakąś naszą dalszą rodziną. Pan Franciszek, który znał ukraińskich partyzantów, wziął drożdże i poszedł do lasu, gdzie wymienił je na ukraiński boczek. Jedną noc u niego przenocowałem. Na drugi dzień rano Bednarski poinformował mnie, że Ukraińcy przez most na Turii, prawie na pewno nie puszcza, radził mi wtedy, abym raczej szedł obok młyna. **Powiedział też inne bardzo ważne słowa: „Tych ludzi których przywożą do lasu partyzanci, okrutnie skrytobójczo mordują i nieprawdą jest, że oni wszyscy żyją i wrócą na żniwa do swoich domów.”** Gdy przyszedłem do młyna, kładki której szukałem już nie było, rzeka choć szeroka nie była głęboka, jednak w tym momencie całkiem straciłem głowę. Wróciłem do Bednarskiego i opowiedziałem mu o wszystkim, a on mi na to tak powiedział: *„Teraz to i ty już przez rzekę nie przejdiesz.”* Po tych słowach opuściłem jego dom i poszedłem w stronę mostu, tam zobaczyłem człowieka, który kosił trawę na łące tuż przy rzece. Podszedłem do niego i zapytałem, gdzie zaraz będzie z tą trawą jechał, a on mi na to, że właśnie wybiera się na drugą stronę rzeki przez most. To był pan Antoni Sienkiewicz, Polak mieszkający niedaleko wsi Dominopol. Poprosiłem go, aby zabrał mnie ze sobą przez most, a on się zgodził, dalej już drogą polną, szczęśliwie wróciłem do rodzinnego domu. Kiedy przyszedłem do mojego domu w Teresinie, tam była już rozpacz. Moja mama płakała ponieważ poważnie obawiała się, że mnie Ukraińcy już nie puszcza i zabiją, może nawet już zabili.

Podczas gdy mnie nie było w dzień, do naszego domu przyszło kilku uzbrojonych Ukraińców. Weszli i od razu powiedzieli tak: *„Świstowski oddaj broń, bo wiemy że masz gdzieś ukrytą, jak nie oddasz to cię zabijemy!”* A tato na to: **„Nie mam broni w domu.”** **Wtedy oni zaczęli go bić wobec naszej mamy oraz mojego rodzeństwa. Musiało to przez chwilę trwać bowiem tato był pobity dość ciężko, miał powybijane zęby i liczne sińce na twarzy.** Reszty rodziny się nie czepiali, potem wyszli z domu i gdzieś się udali. Opowiadała mi to mama i tatuś Józef zaraz po moim powrocie do domu. Chwilę później mama udała się do naszego szwagra, który nazywał się Stefan Tofel ps. „Cichy” i poprosiła go, aby udał się

do naszego domu. Chciała wspólnie omówić plan ucieczki całej naszej rodziny do miasta Włodzimierza Woł. Tutaj bowiem spodziewaliśmy się rychłego napadu banderowców na nasz dom, a co za tym idzie strasznej śmierci od rezunowego noża. Tofel przyszedł do nas i pomógł zapakować nasze rzeczy na wóz, jeszcze tego samego wieczoru, wyjechaliśmy całą naszą rodziną do miasta. W Teresinie została tylko nasza mama i siostra Marcelina Tofel. Wyjechaliśmy już nocą i skierowaliśmy się do lasu kohyleńskiego bowiem baliśmy się jechać przez sam Tartak, a dalej przez Kohylno, Zastawie, Smolarnię, Barbarówkę i Poniczów. Kohyleńskim lasem jechaliśmy aż do grobli, która prowadziła do wsi Włodzimierzówka niedaleko miasta. W tej miejscowości była stara cegielnia, obok której właśnie szła dalej nasza droga. W końcu, po kilku godzinach wielkiego stresu dobrnęliśmy szczęśliwie do rogatki miasta. Tu zatrzymaliśmy się na ulicy Kowelskiej, w mieszkaniu Mikołaja Sobstel, znajomego naszego tatusia. Pan Mikołaj przyjął nas do swojego domu i udzielił najbardziej potrzebnej pomocy.

Tymczasem moja mama i siostra zostały w Teresinie, aby pilnować naszej gospodarki, liczyły bowiem, że kobiet Ukraińcy ruszać nie będą. Już po kilku dniach do naszego domu przyszedł sołtys Środa i rozmawiając przyjaźnie powiedział tak: *„Idźcie i sprowadźcie mężów i dzieci wasze, niech z głodu nie giną w mieście!* Wtedy mama odpowiedziała tak: *„Jak my mamy pójść, przecież nas Ukraińcy nie dopuszczą do miasta?”* Wtedy on tak rzekł: *„Ja wam napiszę kartkę i dam moją pieczętkę, aby was Ukraińcy nie zatrzymywali po drodze i tak spokojnie dojedziecie do miasta.”* I rzeczywiście niedługo przyniósł opieczetowaną kartkę jako przepustkę i obie udały się do miasta. Ukraińcy zatrzymali je raz we wsi Kohylno, na skrzyżowaniu, ale po przeczytaniu kartki, zaraz puścili je w dalszą drogę. W mieście ani one, ani nikt już z nas nawet nie myślał o powrocie do Teresina. Ani trochę nie wierzyliśmy w ukraińskie zapewnienia, spodziewając się z ich strony tylko męki, a w końcu okrutnej śmierci. Pragnę dodać, że wraz ze mną i moją rodziną, z Teresina uciekła też Marianna Antoniak oraz jej dwóch synów: Witold i Stanisław. W domu pozostał tylko jej mąż Jan Antoniak, oficer wojska polskiego, który ciężko chorując, nie był w stanie wtedy z nami uciekać. Tymczasową opiekę nad nimi przejęła moja mama oraz moja siostra. Gdy jednak Marianna dowiedziała się, że i one uciekły, zabrała swoich obu synów i wróciła do męża, aby się nim dalej opiekować. Niestety zaledwie kilka dni po jej powrocie, nasza kolonia została napadnięta przez Ukraińców, a jej mieszkańcy prawie całkowicie wymordowani. Z rodziny Antoniaków zginął wtedy Jan lat około 40, jego żona Marianna lat około 35 oraz obaj synowie Witold lat około 11 i Stanisław lat około 12.

POGROM NA KOLONII TERESIN

Tegoroczne lato było więc dla nas Wołyniaków, szczególnie gorące i krwawe. A w końcu przyszedł także i taki dzień, gdy o świcie mieszkający w okolicy Ukraińcy, napadli i bestialsko wymordowali polską ludność Teresina. Przebieg tych niezwykle tragicznych i przejmujących wydarzeń znam od naocznych świadków, którzy w ogromnej większości cudem dosłownie, uratowali się spod banderowskiego noża i siekiery.

Pan Kazimierz Umański:

Pierwszym, który opowiadał mi napad na naszą kolonię był Polak Kazimierz Umański, który cudem ocalał z rzezi i zdołał przedostać się do miasta. Gdy niedługo później spotkał mnie na ulicy Włodzimierza Woł., tak wspominał: *„W ten krwawy ranek, którego nie zapomnę do końca mojego życia, spałem jeszcze w swoim pokoju, gdy nagle posłyszałem straszny pisk i płacz swojej mamusi oraz rodzeństwa, dochodzący z naszej kuchni. Mój młodszy brat Tadeusz, który spał tuż obok mnie, również się obudził. Nie wiele się zastanawiając skoczyłem przez okno na dwór i szybko pobiegłem do lasu, który oddalony był tylko 200 metrów. To był las Polaka Mikołaja Bojko, który dalej łączył się z lasem*

kohyleńskim. Następnie, tak szybko jak tylko mogłem, dotarłem do miasta Włodzimierz Woł.. Przez cały czas nie wiedziałem, co to były za rozpaczliwe piski, co tak naprawdę, wydarzyło się w moim domu i najważniejsze pytanie, które nie dawało mi spokoju: co stało się z moją rodziną?! Z domu uciekłem bowiem w tamtym momencie byłem prawie pewien, że to Ukraińcy napadli na nasz dom i mordują moich najbliższych. Dopiero potem dowiedziałem się także od innych ludzi, że na naszej kolonii był rzeczywiście straszny pogrom. Z mojej rodziny zginęli wtedy moja mama, mój brat Tadeusz i siostra Zofia.” Pragnę dodać, że mama Kazika miała chyba na imię Anna lat ok. 50, jego brat Tadeusz mógł mieć lat około 20, natomiast siostra Zosia mogła mieć wtedy około 18 lat. Kazimierz Umański po pewnym czasie, został żołnierzem polskiej samoobrony na którejś z placówek i nie znam jego dalszych losów.

Pan Witold Wesołowski:

*Drugą osobą, która opowiadała mi osobiście wydarzenia w Teresinie był Witold Wesołowski, także mieszkaniec naszej kolonii. Spotkałem go zaraz po tym mordzie, mówił tak: „Raniutko do naszego domu włamało się gwałtownie kilku uzbrojonych w siekiery Ukraińców. Włamali się przez okna i drzwi i bez żadnych słów zaczęli mordować moją rodzinę, kogo popadli pierwszego. **Ja właśnie byłem w kuchni, gdzie spałem na łóżku. Nagle odczułem, że zostałem uderzony w głowę czymś twardym, jednak nie straciłem przytomności obsuwając się z łóżka, schowałem się za drzwi. W tym czasie, w drugim pokoju, ukraińscy zbrodniarze siekierami rąbali resztę mojej najbliższej rodziny. Bardzo wyraźnie słyszałem potworne wręcz piski i krzyki moich rodziców i rodzeństwa właśnie zarzynanych bez litości. Po chwili wszystko ucichło, a Ukraińcy wyskoczyli z naszego domu i pobiegli do drugiego mieszkania za miedzę, gdzie mieszkała rodzina Topolanków. Ja tymczasem szybko wybiegłem z domu i dopadłem do ściany lasu, który znajdował się od naszego domu tylko 50 metrów. Lasem jak najszybciej przedostałem się do wsi Włodzimierzówka, a stamtąd już do Włodzimierza Woł.. Z mojej rodziny ukraińscy bandyci zamordowali tego ranka moją mamę, tatę oraz moje rodzeństwo.”***

Pragnę uzupełnić, że mama Witolda miała lat około 50, a tato lat około 55, wydaje mi się także, że miał brata lat około 16 oraz siostrę lat około 20. Sam Witold również trafił później do polskiej samoobrony, ale nie wiem gdzie służył i walczył. Jest mi jednak wiadome, że przeżył wojnę i osiadł w Polsce. Miałem to szczęście spotkać go jeszcze raz w roku 1999 i to w naszym rodzinnym Teresinie, podczas poświęcenia Krzyża, ustawionego na symbolicznej mogile naszych braci i sióstr.

Pan Stanisław Bojko:

*W latach 70-tych pan Stanisław Bojko opowiadał mi osobiście losy Róży Bojko z Teresina, która cudem ocalała z rzezi, a którą się później troskliwie zaopiekował i długie lata wychowywał jak swoje własne dziecko. Opowiadał mi to w Strzyżowie w swoim domu, mówił tak: „Róża Bojko i jej starszy brat byli właśnie w domu, gdy nastąpił gwałtowny atak Ukraińców na ich dom i rodzinę. Ukraińscy bandyci włamali się do domu i od razu z miejsca zaczęli mordować domowników. Jej tato Stefan lat około 35 i mama lat około 30 oraz babcia Józefa lat około 70 byli właśnie razem w kuchni. **Tam dopadli ich rezuni i zaczęli od razu mordować. Róża bowiem słyszała straszne krzyki i piski dochodzące z kuchni. Zaraz ona i jej brat w wielkim strachu schowali się za szafę, która stała w ich pokoju. Ukraińcy wcale jednak nie szukali w tym pokoju, ale po skończonej robocie wyszli z domu na dwór. Wtedy jej młodszy brat wyszedł z ukrycia na dwór i tam zauważyli go oprawcy i na miejscu zakatrupili. Ona w tym czasie nadal siedziała ukryta za szafą, w pewnym momencie zauważyła jednak, że do ich domu przyszedł sołtys Środa i zaczął rabować ich mienie. Kiedy dziecko zobaczyło znajomego sąsiada, wyszło z ukrycia. Gdy dziewczynka pokazała się***

sołtysowi, w chwilę później zobaczyła także ciała swojej pomordowanej rodziny, leżały na podwórzu przed domem. Małżeństwo Środów było bezdzietne, zabrał więc sierotę ze sobą do swojego domu. Od tej pory opiekował się nią, a ona pasła dla niego krowy. **W tym czasie inne dzieci ukraińskie, wiedząc o tym, że Róża jest polskim dzieckiem czynili jej wiele krzywd i upokorzeń. Dla przykładu dzieci ukraińskie na łące bili ją prętami po nogach oraz dosypywali piachu do chleba, który jadła. Róża cierpiała wśród Ukraińców długo, aż do ponownego wejścia Sowieców na te tereny. W międzyczasie udało się dowiedzieć od ludzi, że malutka Róża Bojko przeżyła cudownie rzeź i znajduje się obecnie w domu Ukraińca Środy. Zaraz udałem się do sowieckiego NKWD i poprosiłem ich o pomoc w odzyskaniu polskiej sieroty. Pomoc tak potrzebną uzyskałem i wraz z Sowiecami udałem się do Teresina do domu sołtysa. Gdy przyjechaliśmy na miejsce od razu rozpoznałem naszą małą Różę, jednak dziecko wyraźnie się mnie bało, a tym bardziej nie chciało nigdzie ze mną jechać. Nie dziwię się jej, miała dopiero zaledwie 6 lat, a domiar złego, jako stary kawaler rzadko ich w domu odwiedzałem. Poza tym długie miesiące poniewierki i prześladowań wywarło przemożny wpływ na jej zachowanie i psychikę, dlatego była dzieckiem mocno załęczonym, wręcz zastraszone. Jednak ja nie dawałem za wygraną i poinformowałem NKWD, że to dziecko to jest polska sierota, której rodziców i rodzinę banderowcy brutalnie zamordowali latem 1943 r.. Wtedy Sowieci zaczęli przesłuchiwać w tej sprawie gospodynię, żonę sołtysa, która zaraz potwierdziła to wszystko, co mówiłem o małej Róży ja. W tej sytuacji za zgodą władzy sowieckiej zabrałem przymusowo dziecko ze sobą do miasta. Od tej pory uczyniłem ją jakby swoją córeczką i wyjechaliśmy do Polski. Zamieszkaliśmy we wsi Strzyżów, gm. Horodło na Zamojszczyźnie. Nadal ją tam wychowywałem i zapewniłem jej dobre wykształcenie, tak że została nawet nauczycielką.**

Pragnę od siebie dodać, że Stanisław Bojko już zmarł i jest pochowany na cmentarzu w Strzyżowie, a Róża żyje do dziś. Miałem nawet to szczęście spotkać ją osobiście i to na terenie naszej rodzinnej wsi Teresin, podczas uroczystości poświęcenia Krzyża. Należała wtedy do grupy ludzi wyróżniających się zaangażowaniem przy organizacji tych uroczystości.

Pani Maria Bojko z d. Świstowska

Zaraz po wymordowaniu wsi Teresin, spotkałem kolejnego świadka tej rzezi. Pani Maria Bojko, była mieszkanka naszej kolonii, jako Polka była córką Jana i Marceliny Świstowskich. Wyszła za mąż za Michała Bojko, który pochodził ze wsi Mikołajpol. Maria opowiadała mi osobiście przebieg tych tragicznych wydarzeń tak: „**Ja i moja rodzina od pewnego czasu chodziliśmy na noc do Marii, żony sowieckiego oficera z domu Świstowska. Tam nocowaliśmy mając nadzieję, że na ten dom nie będzie napadu, skoro Marysia jest żoną Rosjanina. Dlatego także i w ten dzień kiedy nastąpił pogrom w naszej kolonii byliśmy w tym domu. Razem z nami byli jeszcze dwaj rodzeni bracia Marysi: Tadeusz lat około 17 i Zbigniew lat około 10. Pamiętam, że atak miał miejsce o świcie, ukraińscy bandyci gwałtownie włamali się do tego domu i z miejsca zaczęli mordować wszystkich po kolei. Najpierw zginęli ci którzy byli w kuchni. Ja tym momencie byłam w pokoju obok, zaledwie za jednymi drzwiami, gdy usłyszałam nieludzkie wręcz krzyki i piski brutalnie zabijanych ludzi, dochodzące z kuchni. Razem ze mną była wtedy moja córeczka Regina, która miała wtedy zaledwie 9 miesięcy. Instynktownie chwyciłam niemowlę na ręce i ukryłam się z nim w małej piwniczce pod podłogą, do które wejście było właśnie w tym pokoju. Ledwie zdążyłam się tam schronić do naszego pokoju wpadli Ukraińcy, wyraźnie słyszałam ich kroki. Po chwili zaczęli mordować także tych ludzi, którzy dosłownie przed chwilą byli ze mną w pokoju nad nami. To przeżycie jest nie do opowiedzenia, to się działo tuż nad naszymi głowami. Słyszałam krzyki i jęki konających, a przecież tak bliskich mi osób. Nie zapomnę tego do końca mojego życia, tego nie można wprost wymazać z pamięci. Po chwili wszystko**

ucichło, a ja posłyszałam jak wyciągają ciała pomordowanych ludzi z domu na podwórze. W czasie tej rzezi zamordowano: mojego tatusia Jana, moją mamę Kamilę oraz moją rodzoną siostrę Kazimierę i jej synka i córkę. Zginęli także Tadeusz Świstowski i Zbigniew Świstowski. Pamiętam, że kilka razy patrzyłam czy już zrobiło się ciemno na dworze, czekałam roztropnie do nocy. Wreszcie, gdy zapadał już zmrok, ostrożnie wyszłam z mojej szczęśliwej kryjówki na podwórko. **Tu moim oczom ukazał się makabryczny widok, na ziemi leżały ciała bestialsko pomordowanych ludzi, w tym moi najbliżsi. Serce mocno mi zabiło po raz kolejny.** Na progu domu spotkałam też Marysię, naszą dobrodziejkę oraz jej zaledwie półroczną niemowlę, z jakiegoś powodu oprawcy, pozostawili ich przy życiu. Marysia płakała bardzo gorzko i rozpaczła nad tym co się dzisiaj wydarzyło. Byłam w tym momencie przytomniejsza, zaproponowałam jej, aby razem ze mną zaraz uciekała do miasta. Niestety nie chciała nigdzie uciekać, upierała się i została w Teresinie. Ja tymczasem wzięłam swoje dziecko i lasami doszłam aż do wsi Włodzimierzówka, gdzie było już blisko do Włodzimierza Woł..”

Autor tych wspomnień Eugeniusz Świstowski wspomina dalej tak: słyszałem też od ludzi w naszym mieście Włodzimierzu Woł., jak zginęła rodzina Terleckich. Podczas napadu na naszą kolonię, Ukraińcy napadli też oczywiście i na dom Bronisława Terleckiego lat około 45, który jednak nie pozwolił włamać się do swojego domu i razem ze swoim synem Stanisławem lat około 17 stawiał zacięty opór. Ponieważ mieli obaj broń ostrą, przez jakiś czas nie dopuszczali atakujących banderowców do swojego domu, w końcu jednak skończyła im się amunicja i przestali strzelać. Wtedy Ukraińcy podczołgali się pod ich dom i podłożyli ogień, potem spokojnie już pilnowali, aby tylko nikt nie uciekł z płonącego domu. Obaj dzielni obrońcy oraz ich rodzina, wszyscy zginęli w płomieniach, w tym: żona Terleckiego lat około 35 oraz jego rodzice: ojciec lat około 60 i matka lat około 57.

LOSY RODZINY ROCHÓW Z TERESINA

W naszej kolonii Teresin zamieszkał Marian Roch, który pochodził z Zastawia należącego do ukraińskiej, prawosławnej wsi Kohylno. Marian ożenił się z naszą dziewczyną Anną Rusiecką. Jest mi także wiadome, że jej mama nazywała się z domu Wawrynowicz lat około 60 i była rodzoną siostrą mojej mamusi Michaliny. Niestety imion moich dziadków Wawrynowiczów dziś już nie pamiętam. Ojciec Anny zmarł przed wojną, a jej mama została zamordowana w naszej kolonii podczas napadu w sierpniu 1943 r. Na kilka tygodni przed rzezią do domu Mariana Roch przybiegł zupełnie nagi mężczyzna w wieku około 30 lat i natknął się na jego żonę Annę oraz teściową. Gdy go takim ujrzały, obie natychmiast narobiły krzyku, a on zaczął się tłumaczyć, że zna Mariana Rocha i bardzo potrzebuje ich pomocy, mówił przy tym tak: „**Mnie i innych Polaków zabrali do lasu Ukraińcy. Tam kazali nam kopać doły, gdy tylko skończyliśmy, będąc już bardzo złych myśli, oprawcy nakazali nam się rozbierać! Gdy i to polecenie posłusznie wykonaliśmy, to wtedy nakazali nam wchodzić do tych dołów. Byłem już niemal pewien, że chcą nas tam wystrzelać, w tych dołach jak kaczki. Nie mając już nic do stracenia, rzuciłem się gwałtownie do ucieczki. Zaskoczeni Ukraińcy strzelali za mną, ale żadna kula mnie nie trafiła i zdołałem uciec. Teraz jestem u was ponieważ znam Mariana i spodziewam się, że mi pomożecie.**” Oczywiście nie zwiódł się na Marianie, który zaraz przyniósł potrzebne ubranie, potem ten człowiek gdzieś zniknął i potem nic już o nim nie słyszałem.

Niedługo później miały miejsce w naszej kolonii okrutne mordy, podczas których zginęło tak wielu ludzi. Marian Roch, jego żona Anna oraz ich córeczka Halina ocalały bowiem jeszcze zanim nastąpiła rzeź w naszej kolonii, zdołali uciec nocą wszyscy do miasta. Wraz z nimi uciekła wtedy rodzona siostra Anny, Antonina Rusiecka. Powodzenie ucieczki Marian i jego rodzina zawdzięcza dwóm swoim rodzonym braciom Michałowi i Bolesławowi, którzy przyszli do niego po kryjomu nocą i poinformowali go, że niemal cała ich duża rodzina Rochów z Zastawia i okolic już uciekła do miasta. Namawiali przy tym

gorąco Mariana, aby także uciekał bowiem jak się Ukraińcy dowiedzą o ich ucieczce, to mogą się mścić na jego rodzinie. Żona Mariana zdecydowanie sprzeciwiała się ucieczce, w końcu jednak uległa namowom i woli męża. Po długim i niebezpiecznym marszu dotarli szczęśliwie do miasta, gdzie widziałem się potem wiele razy z nimi osobiście.

SZCZĘŚCIE SOŁTYSA ŚRODY

Zaledwie kilka dni po wymordowaniu ludzi w naszej kolonii, wybrali się tam Marian, Michał i Bolesław Roch, oraz kilku innych chłopaków, szukali jeszcze żyjących i ukrywających się ludzi. Mieli zamiar zabrać także do miasta duże ilości żywności, które zakopane były w obejściu Mariana Rocha. Będąc już na miejscu, wstąpili do sołtysa Środy i chcieli go pojmać. Wiem o tym bowiem opowiadał mi o tym sam Michał, mówił tak: *„Przyszlśmy nocą do domu Ukraińca Środy, aby go pojmać i zaprowadzić do Włodzimierza Wołyńskiego. Tam chcieliśmy go zabić za to, że tyle Polaków zostało zamordowanych na Tresinie. Gdy tylko przyszlśmy do jego domu, Środy nie było, a była tylko jego żona. Z miejsca zaczęliśmy ją wypytywać o męża, ale ona wciąż upierała się przy swoim, że nie wie gdzie jest jej mąż. Zagroziliśmy jej otwarciem, że jeśli nam nie powie gdzie się w tej chwili ukrywa to zabijemy ją tu i na miejscu. Wyraźnie wystraszona zaraz wyjawiała nam, że mąż śpi na „brożku”, to było miejsce na którym składano siano, zawieszona na deskach i przykryte daszkiem. I rzeczywiście tam go znaleźliśmy i zabraliśmy go ze sobą. Potem udaliśmy się do Mariana Rocha, aby nabrać żywności, opiekę zaś nad Środą, powierzyliśmy jednemu z naszych. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, gdy wróciliśmy na miejsce sołtysa już nie było, więc zaraz zaczęliśmy badać wartownika co się stało. Okazało się, że Ukrainiec tak usilnie prosił naszego chłopaka, że temu zmiękło serce i wypuścił go na wolność. Myślałem, że go tam ukatrupię na miejscu, taki byłem wściekły, że puścił go wolno ale na szczęście się opamiętałem i darowałem mu ten czyn. Potem już szczęśliwie wróciliśmy do miasta.”*

Mieszkaniec Kopyłowa Adam Roch, syn Stanisława, który jeszcze podczas wojny mieszkał bardzo blisko Kohylna i Zastawia, rodowej siedziby Rochów, opowiadał mi już po wojnie tak: *„Jeszcze tej samej nocy gdy Bolesław i Michał Roch byli z wizytą u swojego brata Mariana na Teresinie, zaraz potem wstąpili też do domu Kasperskich. Wydaje mi się, że on miał na imię Tadeusz lat około 31, a ona Sabina z domu Roch lat około 27. Ponieważ jednak nikogo nie było w domu, poszli dalej swoją drogą.”* Nie wiem właściwie co się stało z rodziną Kasperskich, wszelki słuch o nich zaginął ale przypuszczam, że tak jak inni leżą gdzieś na uświęconej krwii Ziemi Wołyńskiej.

Warto także wspomnieć o jeszcze jednej pięknej, młodej Adeli Roch lat około 19, która zamieszkała w naszej kolonii Teresin, zostając żoną Jana Gdyry lat około 24. Jednak mąż jej okazał nie wart tak pięknej kobiety, gdyż opuścił ją i zamieszkał ze swoją przyjaciółką Kazimierą Brzezicką. Tymczasem Adela Gdyra z d. Roch gospodarzyła w domu z jego rodzicami, którzy oboje byli w wieku około 55 lat. Rodzice Jana zostali zamordowani podczas rzezi, w sierpniu 1943 r., wraz z nimi zabito ich niemego syna lat około 25 oraz jego żonę Zofię z domu Krakowiak lat około 20. Nie pamiętam już dziś czy to małżeństwo miało już swoje dzieci. Nie wiem też co właściwie stało się z Adelą Roch i jej małym dzieckiem. Jan natomiast i jego przyjaciółka Kazimiera Brzezicka zdołali szczęśliwie schronić się w mieście Włodzimierz Woł.

Szczęśliwa ucieczka dużej rodziny Rochów poprzedzona została jednak niejedną próbą. O jednej z nich opowiadał mi osobiście Michał Roch, już po wojnie w naszej wsi Kopyłów. Przyjechał wtedy z Siedlisk koło Zamościa na chrzciny kolejnej córki Mariana i Anny Roch: Krystyny, mówił tak: *„Ukraińcy przyszli w nocy do mojego domu i chcieli się koniecznie rozmówić. Wcale nie miałem ochoty z nimi rozmawiać więc musiałem nawiać z domu oknem. Jednak podczas ucieczki, któryś z nich mnie zauważył i naskoczył. Wywiązała się gwałtowna walka, z której jednak wyszedłem obronną ręką i zdołałem uciec.”* Antonina

Rusiecka również przeżyła wojnę i osiadła w Kopyłowie. Po jakimś czasie wyszła za mąż za Rosjanina i wyjechali razem gdzieś na zachód i od tamtej chwili nie wiem co się dalej z nimi podziało.

NA ULICACH WŁODZIMIERZA WOŁYŃSKIEGO

Przez pierwsze dni w mieście cała moja rodzina, powoli dochodziliśmy do swoich sił, wszyscy bowiem byli niemal fizycznie i psychicznie wyczerpani, dlatego dużo w tym czasie odpoczywaliśmy. Ja tymczasem mając zaledwie 16 lat, szybko doszedłem do siebie i zaraz pobiegłem na miasto, byłem niezmiernie ciekaw co się dzieje w mieście i czy spotkam tam kogoś znajomego. Zobaczyłam tam to czego właściwie się spodziewałem, **panował smutek, właściwie z każdego kąta wзираła tragedia ludzka. Na każdym placu i ulicy miasta spotykałem uciekinierów z całego Wołynia, ale przede wszystkim z najbliższych okolic. Niektórzy z nich byli ranni, a prawie każdy z nich stracił kogoś z najbliższej rodziny.** Spotkałem w tych dniach wielu bliskich znajomych z Teresina i z naszej parafii Matki Bożej Swojczowskiej, w tym: Zbigniewa i Jerzego Kędzierskich oraz Stefana Tofel i Tadeusza Topolanek. Spotkałem oczywiście o wiele więcej moich znajomych, ale nie sposób tu wszystkich wymienić. Większość z tych osób uciekła z naszej kolonii jeszcze przed rzezią, bądź wyratowała się w sposób najczęściej cudowny z samej rzezi.

Pamiętam, że już kilka dni później w mieście wybuchła panika bowiem ludzie rozpowiadali sobie, że banderowcy szykują się do bezpośredniego ataku na Włodzimierz Woł., gdzie chcą wymordować resztę ocalałych Polaków. Do mnie osobiście przyszedł Ludwik Palonka lat około 33 i wydał mi polecenie, aby wszyscy Polacy schronili się w budynkach murowanych, które są okratowane. Tłumaczył tak: „*Spodziewamy się ataku banderowców na nasze miasto i to w najbliższych dniach.*” Słowa te jednak nie sprawdziły się ponieważ Ukraińcy miasta nie zaatakowali. Wydarzenie to jednak stało się impulsem do zorganizowania polskiej samoobrony, której zadaniem była ochrona ludności cywilnej. Niemcy wyrazili zgodę na istnienie polskich formacji i nawet dostarczyli potrzebnej broni. **Tak Polacy zorganizowali liczne placówki samoobrony w mieście oraz wokół niego. Takie placówki były dla przykładu w: Bielinie, Werbie, na Cegielni, we Włodzimierzówce, w Iwaniczach, Karczunku Uściłudzkiem i w innych miejscowościach.** Na każdej placówce był niemiecki żołnierz, który pilnował aby nie pojawiała się samowola. Z tych placówek co jakiś czas Polacy organizowali ekspedycje w teren, aby zdobyć trochę żywności, której bardzo brakowało. Składały się one z mężczyzn pod bronią oraz kobiet na furmankach, których zadaniem było zbieranie żywności, wszędzie tam gdzie to będzie możliwe, a nawet rabowanie żywności w ukraińskich wioskach.

W SAMOOBRONIE

Do takiej samoobrony w naszym mieście wstąpiłem i ja, jesienią 1943 roku pojechałem z innymi żołnierzami polskimi i niemieckimi na akcję jako furman. Naszym celem była wieś Smołowa, gdy dotarliśmy na miejsce **zatrzymaliśmy przy kościele katolickim i weszliśmy do środka, ponieważ był otwarty. Naszym oczom ukazał się makabryczny obraz, na drewnianej podłodze Kościoła znajdowało się dużo zaschniętej krwi, już wtedy byliśmy prawie pewni, że tu nikt świni nie szlachtował.** Poza tym świątynia znajdowała się w bardzo dobrym stanie. W późniejszym czasie nasze przewidywania się sprawdziły, kiedy dowiedzieliśmy, że w Smołowej, w Kościele ukraińscy nacjonaliści pomordowali bardzo dużo Polaków. Świątynia stała właściwie nieco na uboczu tej wsi, zaraz więc pojechaliśmy dalej i zrabowaliśmy trochę żywności z ukraińskich chat. Tak obładowani, wracaliśmy zadowoleni, że nasze dzieci i kobiety polskie będą mogły spokojnie przeżyć do następnego wypadu. Nagle z lasu obok wsi, ktoś zaczął do nas strzelać, na szczęście nikt z naszych tym razem nie zginął. Pragnę także dodać, że wiele lat po wojnie, gdy po raz kolejny uczestniczyłem w Zjeździe 27 Wołyńskiej DPAK, spotkałem jednego z

żołnierzy naszej dywizji, mieszkańca byłej polskiej kolonii Smołowa. Niestety jego imienia i nazwiska już dziś nie pamiętam, rozmawialiśmy jednak wtedy o tej krwi na podłodze Kościoła, a on powiedział tak: „*W naszym kościele w Smołowej Ukraińcy wymordowali wielu Polaków podczas trwania mszy świętej!*” Pamiętam, że nawet wymieniał niektóre nazwiska ofiar które znał, ale niestety i tych osób już dziś nie mogę sobie przypomnieć.

Podczas podobnego Zjazdu naszej Dywizji, ale tym razem we wsi Dubienka spotkałem też Bolesława Rocha, który tak mi opowiadał: „*Służyłem w samoobronie w Iwaniczach, pewnego razu wybraliśmy się na zbrojny wypad do jednej z ukraińskich wiosek, które były w okolicy. Nagle ktoś zaczął do nas strzelać z jednej ze stodół. Szybko odkryliśmy skąd padają strzały i otoczyliśmy to miejsce. W pewnym momencie strzały ucichły więc ostrożnie podeszliśmy bliżej, a w końcu weszliśmy do środka. Lecz napastnika nigdzie nie było, więc zaczęliśmy szukać, spodziewaliśmy się bowiem, że się gdzieś dobrze ukrył bądź niepostrzeżenie nawiał. Wlazłem więc na górę na snopki i zacząłem tam szukać, nagle zapadłem się wprost na ukrytego pod snopkami Ukraińca. Nie wiele się zastanawiając wpakowałem mu kulę i ubiłem go na miejscu. Obok niego leżała broń z której do nas strzelał, sprawdziliśmy i nie było w niej już amunicji. Potem wróciliśmy na naszą palcówkę do Iwanicz.*”

Pewnego razu samoobrona z Cegielni w liczbie około 30 chłopaków oraz kobiety na furmankach udali się do ukraińskiej wsi Oseredek. Jeszcze jednak nie dojechali do pierwszych budynków, a już posypały się strzały karabinowe ze wsi ukraińskiej Kohylno. Jako pierwszy zginął Hasiak lat około 20, a dwóch żołnierzy samoobrony: Leonard Rusiecki i Piotr Michalak zostali ranni w tej potyczce. W tej sytuacji wsadzili ich na wóz, a ja otrzymałem rozkaz od dowództwa, aby ich natychmiast odwieźć do szpitala we Włodzimierzu. Tymczasem reszta wyprawy zrezygnowała z dalszych starań i powróciła do swojej bazy. Na szczęście obaj wrócili do zdrowia. Piotr Michalak trafił po pewnym czasie do formacji SS i służył dla Niemców przez długi czas walcząc na froncie. Trzeba także powiedzieć, że w tym swoim upadku dopuszczał się także mordowania Polaków. Pod koniec wojny, już na terenie Niemiec ujęli go Sowieci i wywieźli go, aż na daleką Syberię. Tam przed długie lata ciężko pracował, doznając przy tym licznych złamań i urazów. W końcu, po latach długich starań udało mu się otrzymać zgodę na powrót do miasta Włodzimierz Wołyński. Niestety jego żony i dzieci z Syberii nie wypuścili. Informację tę zdobyłem od niego samego, gdy spotkałem go właśnie we Włodzimierzu Woł. i rozmawiałem z nim osobiście po 36 latach.

PARTYZANCKA BAZA - BIELIN

Zaraz po nowym roku, gdzieś w pierwszych dniach 1944 roku, Niemcy przestraszyli się siły Polaków i postanowili rozwiązać placówki samoobrony. W tej sytuacji Polacy nie czekając na dzień w którym odbiorą im broń, uciekli wszyscy do lasu i na Bielin. W tej sytuacji która się wytworzyła, Niemcy ponownie zaczęli zbroić Ukraińców, powołując wielu z nich pod broń i dając im mundury SS. Zgłosiło się wtedy na ochotnika wielu z nich. Nam Polakom nie pozostawało nic innego do roboty, jak tylko opuścić również miasto i uciekać do polskiej partyzantki na Bielinie. I tak też zdecydował nasz tatuś Józef, gdy znaleźliśmy się już na miejscu, zamieszkaliśmy we wsi Wierów. Tam zaangażowałem się w akcje prowadzone przez partyzantów jako furman.

Pewnego razu pojechaliśmy do Lasów Strzeleckich w sile plutonu wojska pod dowództwem Marka Koc, z kompanii por. „Piotrusia”. W lesie spotkaliśmy ukraińskiego popa, jakiegoś niemego mężczyznę oraz dość dużą ilość kobiet z dziećmi. Gdy okrążyliśmy tę grupę, wszyscy popadali na kolana i zaczęli błagać naszego dowódcę, aby ich tu nie zabijał! Wtedy nasz plutonowy Koc powiedział tak: „*Nie będziemy was zabijać!*” Tak więc zostawiliśmy tych ludzi przy życiu ale odebraliśmy od nich część chleba oraz „badenki” z

masłem i serem. Jeden z naszych zabrał także od ukraińskiego popa jego dość dobre buty, a zostawił mu swoje, już dość zniszczone. Po odjechaniu około 2 km nasz dowódca podzielił zdobycz między nas żołnierzy, wszyscy jedliśmy ze smakiem.

W Wielki Piątek 1944 r. nad wieś Bielin, Wierów i Siedliszcze nadleciały 2 bombowce niemieckie, które zrzuciły dużo bomb. Tego dnia zniszczeniu uległo trochę sprzętu oraz zginęło wielu ludzi. W pierwszy dzień Wielkanocy, ponownie Niemcy bombardowali nasze wsie, tylko że tym razem zniszczenia były o wiele większe i zginęło o wiele więcej ludzi. Tym razem wrogich maszyn było 4. Tego dnia zginął we wsi Wierów sierżant Madziar, a mało brakowało, a zginął bym także ja. W ostatniej chwili por. „Piotruś” zabrał mnie do domu. Zaraz po tych nalotach, jakieś dwa dni, Niemcy silnym oddziałem naparli na naszą samoobronę i musieliśmy się wycofać do Lasów Strzeleckich. Jednak i tam nie można było znaleźć odpocznienia od niemieckich nalotów i bomb. W tym trudnym rzeczywiście położeniu, coraz więcej ludzi uciekało indywidualnie do Włodzimierza oraz do najbliższych wiosek.

Jednego dnia dotarł do naszego wojska rozkaz, przywieziony przez oficera na koniu tej treści: *„Każdy niech się przebiją jak może, a jak przyjdzie odpowiedni czas to się znajdziemy.”* W tej sytuacji jedna nasza grupa poszła na Prypeć a druga na Lubelszczyznę. Tam nasza 27 Wołyńska DP Armii Krajowej działała jeszcze przez pewien czas, jako silna i licząca się jednostka wojskowa. Niestety, Sowieci rozbili naszych żołnierzy pod Skrobowem w 1944 roku. Tymczasem ja przebiegałem się wraz z por. „Perszem”. Udało nam się wydostać z okrażeń i przeszliśmy rzekę Bug w okolicach wsi Bereźnica, tam rozproszyliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że mój dowódca por. „Persz”, przez kilka dni ukrywał się we wsi Liski Horodelskie, a potem trafił do Zwierzyńca.

Tymczasem ja trafiłem do wsi Kopyłów niedaleko Horodła, do domu Marii i Wincentego Bazylewicz i zamieszkałem w domu nazywanym „popówka”. Tam mieściła się mleczarnia, mieszkałem tam do przybycia moich rodziców. Dom należał wtedy do por. Węglowskiego, który pochodził ze wsi Gołębowiec. Pracowałem wtedy ciężko w polu, aby zarobić na przeżycie. Tymczasem moja rodzina przedostała się z Lasów Strzeleckich do miasta Włodzimierz Wołyński i tam przebywali przez pewien czas. Potem jednak zdecydowali się na ucieczkę na tę stronę Bugu. Trochę inaczej potoczyły się losy mojego taty, który został ujęty przez Niemców, a ci zapędzili go do kopania okopów na potrzeby wojska frontowego. Gdy po pewnym czasie znalazł się w wiosce Liski Horodelskie, nawiązał od Niemców do pobliskiego Kopyłowa.

ZACIĘTA WALKA Z KOMUNISTAMI NA ZAMOJSZCZYŹNIE

Po wojnie w Polsce nastąpiła władza komunistyczna, moja rodzina osiadła wtedy w Kopyłowie na stałe. Nowa władza dała nam 5 ha ziemi oraz budę za dom, gdy w Teresinie zostawiliśmy około 30 ha ziemi i wszystko, co potrzebne do jej uprawy. Właściwie dorabialiśmy się od początku. Baliśmy się przy tym wychylać bowiem komuniści ostro ścigali byłych żołnierzy Armii Krajowej. W naszym Kopyłowie też były takie akty prześladowania. Przychodzili do domów, zabierali ludzi ze sobą i wsadzali potem do więzień, narażeni byli na to szczególnie ci, którzy nie oddawali zboża bądź masła w wyznaczonym czasie i mierze. Niedaleko Kopyłowa leży wieś Matcze, właśnie tam jednego dnia przyjechali ubecy i zabrali z domu Zdzisława Zielińskiego, a potem wsadzili do więzienia w Zamościu. Postawiono mu zarzut, że brał czynny udział w rozbiciu UB w Hrubieszowie. Po 7 miesiącach bardzo ciężkich przesłuchań wypuścili go w końcu na wolność. Opowiadał mi potem osobiście, że podczas śledztwa, często był dość mocno bity przez śledczych. Oprócz niego, z tej samej wsi UB zabrała wtedy ze sobą jeszcze dwóch chłopaków ale dziś już nie pamiętam jak się nazywali.

Pewnego razu z Kułakowie przyjechało do Kopyłowa trzech mężczyzn, dwóch po cywilu, a jeden w mundurze. Wydali mi rozkaz, abym zbierał się z nimi, ponieważ jedziemy do Horodła. Tam udaliśmy się do mieszkania Sławatyńskiego, którego wygnano z jego własnego mieszkania, a komuniści zabrali mu młyn. W tym czasie pierwszym sekretarzem gminy był Antoni Władysław, a prezesem Gminnej Spółdzielni był Grabowski, także członek partii komunistycznej. Potem **postavili mnie i poszkodowanego Sławatyńskiego kontra Grabowski, przywołali jeszcze do siebie Romana Śliwę ps. „Cichy” i zapytali wprost Sławatyńskiego tak: „Czy mamy zastrzelić komunistę Grabowskiego?!” A on odparł spokojnie: „Nie zabijajcie go! Ja się usunę w inne miejsce.”** W tej sytuacji puścili drania Grabowskiego, natomiast poczciwy Sławatyński stracił wszystko, ale zachował Boga w sercu. Tak więc pierwsze lata po wojnie były bardzo niespokojne w naszych stronach. Dość często słyszałam podczas tamtych dni od ludzi, czasami sam byłem naocznym świadkiem, różnych szykan i prześladowań, jakim poddawano byłych żołnierzy Armii Krajowej. Dla przykładu gdzieś około 1946 roku UB zastrzeliła por. Bojarskiego ps. „Wyga” z Armii Krajowej Ziemi Hrubieszowskiej. Bojarski pochodził z Horodła. Partyzanci nie pozostawiali komunistom dłużni i bronili się jak potrafili najlepiej. Najgłośniejszą akcją w naszym rejonie, był udany atak Armii Krajowej Ziemi Hrubieszowskiej oraz resztek 27 Wołyńskiej DPAK na miasto Hrubieszów. W tej akcji rozbito hrubieszowskie UB oraz lokalne więzienie. Pamiętam tę noc bardzo dobrze. Byłem wtedy w samym mieście, gdzie pilnie uczyłem się u Tomasza Szymańskiego rzemiosła szewskiego, zaledwie 300 metrów od zdobytego budynku UB. Dlatego bardzo wyraźnie słyszałem ostrą strzelaninę, trwającą około 2 godzin, potem wszystko ucichło. Dzisiaj w tych murach mieści się Sąd w Hrubieszowie.

Niestety także w grupach leśnych, partyzanckich nastąpiło duże rozpręczenie, tak że po pewnym czasie trudno już było odróżnić partyzantów od zwykłych bandziorów i rabusiów. I dlatego zdarzało się, że takie watahy chuliganów, potrafiły przyjść do wioski podczas zabawy i wszcząć rozróbę. Dla przykładu takie wydarzenie miało miejsce we wsi Szpikołosy gdzieś około 1947 roku. Tego dnia jacyś ludzie z lasu, okrążyli świetlicę, w której bawiliśmy się w najlepsze, a następnie kazali nam wszystkim zdejmować swoje rzeczy i buty. Gdy ja i inni zostaliśmy tylko w koszulach, nieznajomi zabrali swój łup i spokojnie odeszli skąd przyszli. Dziś nie mogę oceniać, kto właściwie ponosi odpowiedzialność za tamte wydarzenia, czy to były bandy, czy może tylko zepsuta już Armia Krajowa. W każdym razie takie elementy robiły złą sławę tym partyzantom, którzy gotowi byli na Ołtarzu Ojczyzny, złożyć swoją młodość i zdrowie, a nawet życie swoje oddać w razie takiej konieczności.

ZAKOŃCZENIE

Byłem zaledwie 15-letnim chłopakiem, gdy związałem się z polską samoobroną na Wołyniu w roku 1943, dlatego moja służba koncentrowała na zadaniach pomocniczych, wiele razy byłem dla przykładu furmanem. W tamtym czasie i w tamtych warunkach wojennych było to bardzo trudne zadanie i wymagało sporej dawki odwagi i poświęcenia, byłem jednak młody i wprost wyrwałem się do akcji, do czynu i do walki. I choć nie miałem tyle szans na bezpośrednią walkę z wrogiem na froncie Opatrzność Boża miała i tu swój ukryty, jakże wymowny plan. Jako jeden z najmłodszych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK przez długie następne dziesięciolecia pozostawałem silny, zdrowy i dyspozycyjny dla trudnej, powojennej służby naszej 27 Dywizji dla Polski. To były trudne lata i żmudna praca nad podtrzymaniem ducha wolności, w gnębionym przez komunistów polskim kraju. Właśnie tacy żołnierze dywizyjni jak ja, ci najmłodszy teraz służyli tym, którzy starsi już, słabli na zdrowiu i z biegiem lat odchodzili na wieczną wartę. To my młodzi żołnierze z Wołynia, przejmowaliśmy teraz od nich dziejową rolę, by nie zagasła pamięć o Wołyniu, o Tych którzy zostali tam na zawsze, by chlubny szlak bojowy 27 Wołyńskiej DP AK znany był w następnych pokoleniach Polaków. I

to zadanie starałem się wypełnić najlepiej jak umiałem, nie szczędziłem sił, czasu i środków, a czyniłem to na różne sposoby.

Za pierwszy cel postawiłem sobie podtrzymanie stałych kontaktów i więzi z byłymi towarzyszami walk na Wołyniu, nie było to trudne, gdyż wielu znałem osobiście dość dobrze. Po wojnie spotykałem nie tylko członków swojej rodziny, ale odnalazłem także byłych mieszkańców naszej parafii w Swojczowie i na samym Teresieniu. Wielu naszych ludzi osiadło bowiem na Zamojszczyźnie, dlatego nie mieliśmy daleko i niekiedy składaliśmy sobie wizyty. Odżywały wtedy wspomnienia, dzieliliśmy się wiedzą o naszych najbliższych, a każdy wiedział coś ważnego. Bolało nas, że wielu naszych najbliższych wciąż nie ma własnej mogiły, nie ma katolickiego Krzyża. Dlatego, gdy tylko dowiedziałem się, że w lipcu 1992 r. powstało w Zamościu Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu w latach 1939-1945, natychmiast ja i wielu innych Wołyniaków nawiązaliśmy kontakty. W krótkim czasie zorganizowane zostały wyjazdy na Wołyń, do miejsc spoczynku naszych rodzin i przyjaciół. Nie muszę dodawać jak bardzo czekałem na pierwszy taki wyjazd, oto spełniały się nasze marzenia, oto sam Bóg odpowiadał na lata naszej żarliwej modlitwy.

Wreszcie nastąpił i ten dzień: symboliczna mogiła mieszkańców dawnej kolonii polskiej Teresin, 09.08.1998 r. o. Leszek Kuszłaga i ks. Tadeusz Sokół w obecności świadków tamtej tragedii, poświęcili Krzyż. Obecni byli także Stanisław Piwkowski ps. „Wrzos” i pani Teresa Radziszewska z Zamościa. Podobne uroczystości miały jeszcze miejsce w wielu innych, byłych wsiach i koloniach polskich, w tym i w samym Swojczowie, gdzie Krzyż stanął w miejscu zburzonej w sierpniu 1943 r. przez Ukraińców świątyni. W Zamościu na zamojskiej Rotundzie urządzona została także Wołyńska Krypta, jako symboliczne miejsce pamięci wszystkich pomordowanych na Kresach, a przede wszystkim na Wołyniu i w naszej parafii w Swojczowie. Zgromadzono tam setki tablic z nawiskami ofiar ukraińskich nacjonalistów, z zaznaczeniem miejsca i czasu kaźni, a w centralnym punkcie znajduje się urna z ziemią z miejsc dokonywanych mordów na całym Wołyniu.

W początkach 2003 r. do mojego domu w Kopyłowie przyjechał pan mgr historii Sławomir Roch, wnuk Bolesława Roch. Ten młody człowiek podjął się napisania książki o losach mieszkańców kat. parafii Narodzenia NMP w Swojczowie pt. „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia”. Przez kilka następných dni uważnie spisywał moje wspomnienia z kolonii Teresin na Wołyniu, notując najważniejsze wydarzenia, a ja starałem się zapewnić naszemu gościowi na ten czas, jak najlepsze warunki. Jeszcze w tym samym roku 21 listopada w samo święto Ofiarowania Najświętszej Marii Panny pan Sławomir osobiście przeczytał mi w Kopyłowie spisane wspomnienia, a ja złożyłem swój podpis.

13 czerwca 2003 r. na specjalne zaproszenie Wołyńskiej wspólnoty oraz pana Sławomira Roch przybyłem do Zamościa na Rotundę, aby uczestniczyć w żałobnej mszy świętej, organizowanej przez wiele lat, każdego roku w II niedzielę czerwca. W tym dniu miało też miejsce poświęcenie kopii Obrazu Matki Bożej Śnieżnej Swojczowskiej dla lokalnej wspólnoty wołyńskiej. Na pamiątkowym zdjęciu razem ze mną stoją członkowie bliższej i dalszej rodziny Rochów, w tym: Roman Szymanek, Jadwiga Roch, Józef Roch, Zofia Garbata, Władysław Garbata, a nieco z tyłu ja Eugeniusz Świstowski. Po zakończeniu spotkania Obraz został umieszczony w Wołyńskiej Izbie Pamięci, otworzonej w tym dniu przy garnizonowym Kościele św. Jana Bożego.

Rok 2003 był szczególny i obfitował w różne spotkania okolicznościowe, już miesiąc później w Warszawie na Żoliborzu na tzw. Skwerze Wołyńskim znowu mogłem spotkać wielu kolegów z Wołynia, a szczególnie z 27 Wołyńskiej DP AK. Odbył się bowiem kolejny Zjazd byłych żołnierzy naszej dywizji w Warszawie, podczas którego odsłonięto pomnik poświęcony ofiarom ukraińskich pogromów w latach II wojny Światowej na Wołyniu i Kresach. Pomnik ma kształt płyty odwzorowującej zarys granic przedwojennego wołyńskiego województwa II RP, z której wyrastają wysokie, granitowe kolumny w kształcie gromnic, po

jednej dla każdego powiatu. Zaprojektował go kombatant 27 Wołyńskiej DP AK Kazimierz Danilewicz, autor wcześniej wzniesionego pomnika 27 Wołyńskiej DPAK., który jako potężny i majestatyczny „Szczerbiec” miecz króla Bolesława Chrobrego, góruje nad całą okolicą. Zapuszczona rękojeść w ziemię, symbolizuje jego spoczynek i pokój, a całość kompozycji wzywa niejako do gotowości, aby znów stanąć jak jeden mąż, gdy zajdzie taka potrzeba, a wróg znów stanie z siekierą i nożem w progach naszych domów.

Po zakończeniu uroczystości przy pomniku na Skwerze Wołyńskim była możliwość udać się z autokarem do Rembertowa, do Akademii Obrony Narodowej. Tu przewidziany został obiad dla uczestników Zjazdu 27 Wołyńskiej DPAK oraz oficjalne zakończenie kilkudniowych już obrad i spotkań, podczas których omówiona została dotychczasowa działalność, wybrano nowe władze oraz przedyskutowano najbliższe plany i założenia.

ŚRODOWISKO 27 WOŁYŃSKIEJ DP AK W HRUBIESZOWIE

Podobnych spotkań i Zjazdów naszej 27 Wołyńskiej DP AK było w moim życiu dużo, powyżej wspomnieć już także Zjazd w Dubience nad Bugiem, podczas którego spotkałem się z Bolesławem Rochem ps. „Jaworski”. Mam świadomość, że bardzo dużo zawdzięczam kolegom ze Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK w Hrubieszowie, dlatego pragnę wspomnieć i tę tak bogatą Kartę naszej powojennej działalności. Otóż już w 1987 r. osoby pochodzące z Wołynia oraz walczące w ramach 27 Wołyńskiej DP AK oraz samoobrony zaczynają bardziej zdecydowanie rozważać możliwość zawiązania Związku tej Dywizji. Już rok później Ryszard Kasprowicz ps. „Lwie Serce” i Tadeusz Kojder po rozmowach z Władysławem Siemaszko ps. „Wir” z Warszawy organizują Koło byłych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK w Hrubieszowie. Od 1989 r. każdy kto chciał należeć do Środowiska 27 Wołyńskiej DP AK wypełniał deklarację członkowską, w której zawarte były dane osobowe i przyczyny przynależności. 17 stycznia tego roku członek Środowiska pan Józef Han ps. „Kruk” otrzymał pamiątkowe odznaczenie „Syn Pułku”, a 06 września Krzyż Armii Krajowej.

11 czerwca 1989 r. na skraju lasu koło wsi Dąbrowa (gm. Mircze) na Zamojszczyźnie został poświęcony pomnik z tablicą o treści: „Szeregowy Szadyn Roman ps. „Sułtan” żołnierz Wołyńskiego Oddziału AK pod dowództwem p.por. Jana Ochmana ps. „Kozak”, poległ 02.06.1944 r. u boku dowódcy w walce z Niemcami pod Dąbrową. Niech odpoczywają w pokoju”. Wspominam o tym bowiem również Bolesław Roch ps. „Jaworski” należał do tego oddziału i brał udział w tej potyczce.

20 października 1991 r. nasze środowisko zorganizowało wyjazd na Wołyń do Bielina i Włodzimierza Wołyńskiego z okazji jednodniowych uroczystości religijno – żałobnych. W wyprawie wzięło udział prawie 300 osób, kombatantów wraz z rodzinami oraz ks. dziekan Andrzej Puzon. Wcześniej na wniosek członków naszej Dywizji z Hrubieszowa cmentarz w Bielinie został doprowadzony do estetycznego wyglądu. Kościół, który za komunistycznych czasów służył jako dom kultury i kino uległ poważnej dewastacji, więc go rozebrano, usypano mogiłę i ustawiono dębowy Krzyż. Następnie uczestnicy spotkania przejechali do Włodzimierza Woł. gdzie poświęcono odzyskany kościół farny pw. Św. Joachima i św. Anny. Ceremonii poświęcenia dokonał ks. dziekan mgr Andrzej Puzon w asyście ks. Ludwika Kamilewskiego z Łucka.

W dniach od 11 do 13 września 1992 r. w Hrubieszowie odbył się XII Ogólnopolski Zjazd Żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK, w którym uczestniczyło około 900 osób. W drugim dniu uroczystości przy kościele Garnizonowym w Hrubieszowie dokonano poświęcenia i wręczenia Sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo miasta i jego regionu reprezentowanego przez mgr Józefa Domańskiego. On też dokonał przekazania Sztandaru w czasie uroczystej Mszy Świętej – Polowej kpt. Ryszardowi Markiewiczowi ps. „Mohort” – przew. Zarządu Okręgu Wołyńskiego – Światowego Związku Żołnierzy AK, on z

kolei przekazał dla por. Ryszarda Kasprowicza ps. „Lwie Serce” – przew. Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK w Hrubieszowie. Akt erekcyjny podpisali: ks. Biskup prof. dr hab. Jan Śrutwa Ordynariusz Zamojski – Lubaczowski, p. Jan Zamojski – Wojewoda Zamojski, ks. kan. mgr Marian Goral, ks. dziekan mgr Andrzej Puzon, prof. dr hab. Inż. Arch. Wiktor Zin z Politechniki Krakowskiej, kpt. Ryszard Markiewicz ps. „Mohort”, por. Ryszard Kasprowicz ps. „Lwie Serce”, mgr Józef Domański, mgr Władysław Siemaszko ps. „Wir” – Ojciec chrzestny Sztandaru, Irena Barańska ps. „Pijawka” – Matka chrzestna Sztandaru. Dla upamiętnienia tych uroczystości w Drzewce Sztandaru wbito symboliczne „Gwoździe” przez osoby wyróżnione, które zostały wpisane do księgi pamiątkowej, bardzo to było wiele osób, w tym także ja Eugenisz Świstowski ps. „Dąb”.

Następnego dnia 13 września uczestnicy Zjazdu w liczbie około 800 osób wyjechali do Zasmyk na Ukrainę. Na odrestaurowanym cmentarzu odbyła się Msza Polowa celebrowana ks bp generała Leszka Sławoja Głodzia, naczelnego kapelana WP oraz ks. bp Marcjana Trofimiuka, Generalnego wikariusza archidiecezji lwowskiej. **Padły słowa wypowiedziane przez Ukraińców: „wybaczamy i wy nam wybaczcie”. Była salwa honorowa, znicze, kwiaty, lzy wzruszenia i poświęcenie odnowionego cmentarza.** Apel poległych prowadził jeden z obrońców Zasmyk ppor. Tadeusz Persz ps. „Głaz”. Pobrano też urny z prochami spoczywających tu Polaków.

07 stycznia 1995 r. odbyło się noworoczne spotkanie członków naszego Środowiska w Hrubieszowie, podczas którego uhonorowano 14 osób Krzyżem Armii Krajowej nadanym przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę byli to: Agata Bochniak, Antoni Dymitrowicz, Józef Kopczyński, Bolesław Krucina, Leon Laskowski, Alfred Lewicki, Wanda Nieczyporowska, Józef Szwed, Władysław Tatys, Tadeusz Tomaszewski, Zbigniew Tomaszczuk, Aniela Urbaniak, Zygmunt Wilczyński, Adolf Żak oraz 32 Oznaki Akcji „Burza”, przyznawane przez Komitet Organizacyjny 50 – lecia Powstania Warszawskiego, wśród tak wielu uhonorowanych byłem także ja Eugenisz Świstowski.

17 sierpnia 1995 r. był dniem szczególnym dla mnie, dla naszej rodziny oraz dla wszystkich Kresowiaków, którzy mieszkają w Kopyłowie, Horodle i w okolicy. Tego dnia w naszym Kościele p.w. św. Anny dokonano poświęcenia i odsłonięcia tablicy pamiątkowej o następującej treści: „W hołdzie pamięci Polakom – ofiarom wojny w latach 1939 – 1945 na Wołyniu. Żołnierze 27 Wołyńskiej DP AK Środowisko Hrubieszów.” Mszę świętą celebrował i tablicę odsłonił oraz poświęcił ks. bp Ordynariusz Diecezji Zamojski – Lubaczowskiej prof. dr hab. Jan Śrutwa, a homilię wygłosił ks. kap. mgr. Andrzej Puzon. Akt erekcyjny odczytał pan Józef Han ps. „Kruk”. Pamiętam, że tego dnia modliłem się gorąco, **raz jeszcze przeżywałem moje szczęśliwe dzieciństwo na Wołyniu, piękne letnie dni spędzone w kwitnących sadach i na rozmajonych łąkach. Beztroskie lata szkolne, rodzinne święta i tradycje, bogate grzybobrania, a także moje wybryki jako podrostka.** Ścisnęło mnie gdy wróciły obrazy z lat brutalnej, bezwzględnej i wyniszczającej II wojny światowej, okrucieństwo ukraińskich nacjonalistów i niewinne polskie dzieci, kobiety i staruszki. Zapiętko głęboko w sercu raz jeszcze, gdy przed moimi oczami stnęli Ci którzy do dziś leżą tam w zapomnianych mogiłach, ulżyło gdy przyszła świadomość, że tak wiele udało się już zrobić, uratować od zapomnienia. Potem była **refleksja o ciężkiej, żmudnej pracy w powojennej, komunistycznej rzeczywistości, kiedy dorabialiśmy się praktycznie od zera. Żal dławił duszę kiedy tam na Wołyniu zabrano, zniszczono i spalono wszystko na co tak długo, ciężko i sumiennie pracowaliśmy, a tu wydzielono nam dosłownie jałmużnę i jeszcze musiało się człowiecze ciszyć,** by ci głowę nie ukręcono.

Były to lata niewdzięczne, kiedy poniewierano wierzące, prawe i polskie sumienia, kiedy ludzie zasłużeni prawdziwie dla Polski musieli tak wiele przecierpieć. Bóg nas jednak nie opuścił, 16 października 1978 na stolicę Piotrową został wybrany syn naszej zimi Metropolita Krakowa kard. Karol Wojtyła, który przyjął imię Jan Paweł II. Pan wzbudził także swego Ducha w naszym

narodzie i wkrótce potem narodziła się Solidarność, Ruch ludzi pracy bez precedensu w Europie i na świecie. W końcu po wielkiej próbie stanu wojennego Polska odzyskała pełną niepodległość i znów możemy być sobą i znów możemy żyć zgodnie z tradycją naszych Ojców. Myślałem raz jeszcze o mojej rodzinie, o przyjaciółach z 27 Wołyńskiej DP AK i o mieszkańcach Kopyłowa żałowałem, że nie dożył tej chwili Mieczysław Roch ps. „Jemiola” I/23 pp.. Mieciu był moim serdecznym kolegą, był żołnierzem 27 Wołyńskiej DP AK, przeszedł jej szlak bojowy, przeprowadził się przez Prypeć, kiedy to jakoby piekło rozwarło się nad nimi. Na Prypeci zostało setki naszych żołnierzy i kolegów, po wojnie wiele razy wracaliśmy w rozmowach do tamtych dni i godzin pełnych grozy. Niestety ciężko zachorował i 10 stycznia 1993 r. Mieciu odszedł do wieczności. Z żalem i głębokim szacunkiem pochowaliśmy go na parafialnym cmentarzu w Horodle nad Bugiem, w tym samym grobowcu, w którym spoczęła jego pierwsza żona. Czas zatem upływa i przychodzą nowe pokolenia, ale to także jest nasze dziedzictwo.

17 września 1997 r. w 58 rocznicę napaści Rosji Sowieckiej siłami Armii Czerwonej na Polskę, z inicjatywy Środowiska 27 Wołyńskiej DP AK w Hrubieszowie odbyły się uroczystości związane z odsłonięciem i poświęceniem Pomnika – Grobu w hołdzie poległym i pomordowanym żołnierzom 27 Wołyńskiej DP AK, konspiracji i samoobrony na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie w obronie Ojczyzny w latach 1939 – 1945. Honorowym gościem był gen. bryg. pil. Stanisław Skalski, który odniósł najwięcej zwycięstw wśród polskich pilotów myśliwskich w II wojnie światowej. Urnę z ziemią z cmentarzy i grobów zbiorowych Wołynia zostały przekazane przez: Edwarda Kondrackiego, por. Tadeusza Kodera i Eugeniusza Świstowskiego. Odsłonięcia Pomnika – Grobu dokonali woj. Zamojski mgr Stanisław Rapa, ks. Andrzej Puzon i wielu innych. Nie sposób opisać wszystko, nie to jest zresztą najważniejsze bowiem zasadniczy cel tych wspomnień, jak ufam został już osiągnięty. Oto opowiadałem bowiem nie dla siebie, ale dla Nich, dla Tych wszystkich naszych Braci i Sióstr, którzy na Wołyniu i na Teresinie zostali już na zawsze, wieczna Im cześć i pamięć.

Powyższe wspomnienia, które osobiście podyktowałem panu Sławomirowi Roch w naszym domu w Kopyłowie, zostały mi przeczytane po przepisaniu, a prawdziwość zawartych w nich treści potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Eugenisz Świstowski